



WSPOMNIENIE JANA PAWŁA II

Aneta Jonaszek

1920-2005 r. - dwie daty, narodziny i śmierć, a między nimi niezwykle życie, o którym chciałabym opowiedzieć. Ale jakich słów użyć?

Jan Paweł II, człowiek, kapłan, mocarz, który zmienił bieg historii. Wystarczy spojrzeć na Europę, sprzed ponad trzydziestu lat, podzieloną kamiennym murem, z jedną częścią odgradzoną żelazną kurtyną. Przypomnieć sobie pełne niechęci czy wręcz wrogości stosunki panujące między wyznaniem przez stulecia, a później hierarchów różnych religii, stojących obok niego, zgodnych, iż istnieje jeszcze jedna droga - droga dialogu i wzajemnego szacunku, a nie jedynie, pretensji i oskarżeń.

Dla jednych był Świętym Mężem, dla innych utalentowanym poetą i humanistą. Młodzież widziała w nim przede wszystkim przyjaciela, zawsze gotowego do wspólnej rozmowy. My, Polacy kogoś, kto czuwał nad nami i uczył jak nie zagubić się w tym rozpędzonym świecie. Nie każdy się z nim zgadzał. Nikt jednak nie pozostawał obojętny wobec tego człowieka, który głęboko wierząc nie bał się stawiać trudnych i niewygodnych pytań, iść pod prąd, mówić o rzeczach niepopularnych, samemu pozostając tylko człowiekiem, który szuka i błędzi ufając, iż „*W Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy*”.

Nie był wielkim wodzem ani mężem stanu, był filozofem i myślicielem, ale politycy i mężowie stanu szybko zaczęli szukać jego towarzystwa.

Garnęliśmy się do niego zresztą wszyscy, to był nasz Papież. Prawda, potrafił zganić, ale i pocieszyć, nikogo nie osądając. Pokazał, czym jest prawdziwa miłość i prawdziwe przebaczenie.

Dobrze pamiętamy zdjęcie z celi więziennej, a na nim dwóch ludzi pogrążonych w rozmowie. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, o czym wtedy rozmawiali, ale nie to było najważniejsze. Tam dokonało się coś niewyobrażalnego. Na oczach świata słowo „przebaczam” stało się ciałem.

Zrozumieliśmy wiele podczas tego szczególnego pontyfikatu. On potrafił rozmawiać z każdym bez względu na to, w co wierzył i czy w ogóle wierzył. Przez swój szacunek do człowieka, nikogo nie wywyższał ani nie poniżał, przystawał przy każdym, kto się do niego zwrócił.

Ludzie

Tłumnie gromadziliśmy się podczas jego pielgrzymek, słuchaliśmy go, ale czy dość uważnie? Teraz dopiero zaczynamy dostrzegać ile mądrości i wiary było w tym, co mówił, i nie możemy oprzeć się wrażeniu, że nas bardzo dobrze znał.

Po czterech latach nauczyliśmy się też myśleć o nim w czasie przeszłym i to chyba było najtrudniejsze. Przyzwyczailiśmy się przecież, że tam w Watykanie czuwa nad wszystkimi niezwykle ojciec i przewodnik, chociaż z upływem czasu coraz bardziej chory, słabszy. Gdy stawał przed nami, zadziwiającą siłą swojej osoby sprawiał, iż dostrzegaliśmy tylko moc jego wiary, niezwykle mądrość i wrażliwość duszy. Kilкома słowami potrafił obudzić nadzieję, dać siłę abyśmy uwierzyli, że na świecie istnieją moce, z którymi człowiek uzbrojony w najnowocześniejszą nawet broń nie może się mierzyć.

Duch

To jemu zawdzięczamy jedną z najważniejszych przemian XX w. Jedno zdanie wypowiedziane prawie trzydzieści lat temu w zupełnie innym świecie, do narodu, który tak wiele wycierpiał i tak wiele stracił. Jedno zdanie, od którego wszystko się zaczęło. I Duch powiał swą mocą, a wiatr historii rozprószył gęste chmury, które od dawna zasłaniały nam słońce. Zachwiały się gmachy skostniałego systemu. Ludzie ośmieleni tym jednym zdaniem znowu głośno zaczęli mówić o swoich potrzebach, zaczęli domagać się, aby ich słuchano i zaczęło zmieniać się oblicze Ziemi.

Ale pojawiły się i chwile pełne cierpienia, nawet śmierci, ta jego ziemia wciąż potrzebowała ojca. I stanął na niej po raz kolejny w jednej z najtrudniejszych chwil, kiedy wielu mu to odradzało, aby swoją obecnością nie sprawił wrażenia, iż sankcjonuje stan, który zniewolił naród. Nie zawahał się i nikt, kto go słuchał, nie miał wątpliwości, że to akt wielkiej odwagi. Chrystus przecież powiedział: *„Byłem w więzieniu, a odwiedziliście mnie”*.

Teraz dopiero widzimy ile brał na siebie, jak wiele wydarzeń toczących się na świecie zajmowało jego uwagę i ile energii im poświęcał.

Przygotował nas do wejścia w nowe milenium. Powie ktoś, że to nic nadzwyczajnego, naturalna kolej rzeczy, kolejny wiek. Spójrzmy jednak, z czym w ten nowy wiek wchodziliśmy? Czasy, w których przyszło nam żyć, są trudne i mroczne. Wielu stojąc u progu nowego tysiąclecia odczuwało lęk i niepewność, co nas czeka. Dokąd zmierzamy, dokąd zmierza świat? Chcieliśmy, aby ktoś nam odpowiedział, aby nie były to pytania retoryczne. I nie były, dzięki niemu. Starał się nas przygotować na to, co przed nami, do czego mogą nas zaprowadzić odkrycia naukowe, badania w dziedzinie biologii i genetyki. To dzięki temu, że podzielał z nami nasze obawy, ale i zachwyt nad tym, czego człowiek może dokonać, nie mamy pesymistycznej wizji przyszłości. Mówił nam, że to właśnie człowiek dzięki rosnącym możliwościom nauki i techniki może sobie zagrozić, ale i zmierzyć się ze sobą, sobie zaufać. A my słuchaliśmy go i spokojniej patrzyliśmy w przyszłość.

Nadzieja

Ze świata nie zniknęły wojny i cierpienie, ludzie wciąż chorują, a dzieci umierają z głodu. Ale coś się zmieniło, my jesteśmy inni. Przez wiele lat przecież uczył nas, czym jest dobro i zło, rzeczy zdawałoby się - tak oczywiste. Pokazywał, jaka jest miara zła, ale i siła nadziei, która zawsze mu towarzyszy: *„Zło jest zawsze brakiem jakiegoś dobra... jest niedostatkiem. Nigdy nie jest jednak całkowitą nieobecnością dobra”*. Wiedział, co mówi, jak nikt inny rozumiał, czym jest ów „niedostatek dobra”. Sam doświadczył okrucieństw wojny i okupacji, był świadkiem bezsensownych śmierci bliskich i przyjaciół tylko za to, iż nie należeli do odpowiedniej rasy. Osobiście odczuł działania mechanizmów dwóch najokrutniejszych w dziejach totalitaryzmów i nigdy nie zwątpił. Potrafił tej jak to nazwał „ideologii zła” przeciwstawić wiarę w Boga i w człowieka, nawet wtedy, gdy wydawało się, iż nic nie jest w stanie temu złu się przeciwstawić. Od pierwszego dnia swego pontyfikatu powtarzał *„Nie lękajcie się”*, pragnął abyśmy zaufali, że to wiara da nam siłę, jak dawała jemu i nie wątpili, nigdy, nawet wtedy, gdy dzieje się coś niewyobrażalnie złego. Tak



przecież było owego majowego popołudnia, kiedy ktoś ośmielił się w stronę biskupa Rzymu skierować lufę pistoletu. Gdy na jego białej sutannie pojawiła się krew, ogromna część świata zastygła w osłupieniu. Czy te strzały były świadectwem mocy zła czy zdemaskowały tylko wymiar ludzkiego strachu? To, co nastąpiło potem niewątpliwie ukazało coś jeszcze. Po raz kolejny okazało się, że to nie człowiek decyduje. Papież odwieziony w agonii do polikliniki Gemelli, zatrzymał się na progu śmierci. *„Czyjaś ręka strzelała (...), ale inna ręka prowadziła kulę.”*

Pielgrzym

To nie był zwyczajny pontyfikat. Dla wielu ludzi, a może i całych narodów Rzym przestał być odległym włoskim miastem. Odkąd w Watykanie zamieszkał ten Papież z dalekiego kraju, zaczął pielgrzymować tam cały świat, a on mówił do nas, podzielał nasze lęki, rozumiał cierpienie, szanował odmienność. Był na wszystkich kontynentach w Afryce, Azji, Europie, obu Amerykach i Australii, tam gdzie mógł spotkać drugiego człowieka. Rozmawiał nie tylko z wielkimi tego świata. Najwięcej czasu poświęcał zwykłym ludziom, to do nich przybywał ze swym słowem. Oni i on, Papież pielgrzym i wielobarwne tłumy, zmieniały się krajobrazy i kolor ich skóry, ale jedno pozostawało niezmiennie - wzajemna relacja. Szybko rodząca się nić porozumienia między milionową często rzeszą a jednym człowiekiem, stanowiła coś, co wprawiało w zdumienie. Wielu pytało, jak on to robi? Czym jeden człowiek potrafi tak oczarować ludzi, pochodzących z odmiennych kultur, posługujących się różnymi językami, egzystujących w tak niepodobnych warunkach? Te spotkania nie zawsze były łatwe, często stawali obok niego cierpiący, doświadczeni przez los, ciężko pracujący górnicy z kopalń Ameryki Południowej, afrykańscy rolnicy, czy rozgoryczeni swoim położeniem bezrobotni. Znał wartość pracy, sam kiedyś ciężko, fizycznie pracował i potrafił z ogromnym szacunkiem mówić o ludzkim wysiłku. Nie mógł jednym słowem zmienić ich trudnego położenia, ale mógł uczyć świat, że praca to coś więcej niż tylko godne wynagrodzenie, że człowiek przez pracę zmartwychwstaje, odnajduje pełnię swojego człowieczeństwa.

Młodzież

I jeszcze młodzież. To chyba jeden z największych fenomenów tego pontyfikatu, owa niezwykła nić porozumienia między Ojcem Świętym a młodymi ludźmi, która narodziła się niemal natychmiast. On Papież, profesor filozofii etyki, 58-letni biskup Rzymu i głowa Kościoła Katolickiego i oni. Kiedy

go pierwszy raz zobaczyli byli często bardzo młodzi, niepokorni, mający swoje zdanie. I wystarczyło, żeby do nich przemówił, a wprost oszaleli z miłości. On stawał się coraz starszy, oni coraz młodszy, a jednak ów zachwyt nie słabł. Z niezwykłą determinacją pokonywali tysiące kilometrów, aby się z nim spotkać. Nie był jedynie nauczycielem i przewodnikiem, był przyjacielem, towarzyszem rozmów, kimś, kto w nich wierzył. Jego przesłanie nie było proste, dużo od nich oczekiwał. Mają przecież tworzyć cywilizację młodości, a to wymaga gotowości do poświęceń, przewycięzania podziałów, odpowiedzialności. Tłumaczył, że nie mogą iść na łatwiznę, że muszą od siebie wymagać nawet, gdyby inni od nich nie wymagali. Głosił niepopularne we współczesnym świecie hasła dotyczące czystości przedmałżeńskiej, zakazywał aborcji i eutanazji, namawiał do miłości bliźniego bez względu na jego pochodzenie czy zapatrywania. A młodzi ludzie słuchali i wielbili go jak gwiazdę show-biznesu. Mówił im o wytrwałości w wierze, o tym ile ona kosztuje, o odwadze życia wbrew obiegowym opiniom i ostrzegał, żeby nie przegrali miłości. Wołał: „...wstań, nie skupiaj się na swoich słabościach, wątpliwościach, wyprostuj się... Wstań i idź.” Był Papieżem nie tylko szczerym, ale i odważnym. Zawsze mówił to, co chciał i kiedy chciał, oni to doceniali, potrafili czekać długimi godzinami, aby spędzić z nim, chociaż jedną chwilę. Mimo, iż powtarzał, że nie ma dla nich „srebra ani złota”, ani gotowych odpowiedzi na ich pytania. Wiedzieli, że wszystko rozumiał, bo sam pozostał młody duchem.

Pożegnanie

Był chyba najlepszą częścią tego świata. Ktoś powiedział, że był jak światło, któremu towarzyszył ludzki cień, teraz cień zniknął zostało tylko światło. Odchodząc dał nam coś jeszcze, coś, czego nie śmieliśmy nawet oczekiwać. Dał nam owych kilka niezwykłych dni, pozwolił abyśmy towarzyszyli mu w ostatniej ziemskiej podróży do Domu Ojca.

Kilka wiosennych dni do soboty 2 kwietnia 2005r. był to okres szczególny. Chociaż nie wiem czy „szczególny” to odpowiednie słowo, aby opisać uczucia bólu, nadziei, niepewności i rozpacz, rozmodlenia i przekonania, że oto dokonuje się coś niezwykłego, także w nas. Poniedziałek, wtorek, środa i czwartek, ten najtrudniejszy ze wszystkich dzień, który pozbawił nadziei. To wtedy nadszedł komunikat, że stan zdrowia Ojca Świętego znacznie się pogorszył. Minęła noc, zaczął się piątek. I zapełnił się Plac Świętego Piotra. Ludzie przybywali ze wszystkich stron, chcieli jeszcze raz stanąć pod jego oknem, powiedzieć zwyczajnie, że go kochają, że bardzo pragną, chociaż przez modlitwę, ulżyć jego cierpieniu. W wielu krajach było podobnie. W Polsce piątkowy poranek zastał tysiące ludzi, jeśli nie miliony ludzi, stojących obok siebie na ulicach i skwerach, pogrążonych w modlitwie. Nikt nikogo nie wołał, przychodzili, bo nie potrafili pozostać w domu. Nagle codzienne sprawy przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

I modlitwy w pewnym sensie zostały wysłuchane, dostaliśmy jeszcze jeden dzień. Niezwykły dzień pożegnania z naszym Papieżem, a dla niego jeszcze jeden dzień cierpienia. Przyjął go ze spokojem i radością wiedząc, że tam jesteśmy... *„Szukałem was, a teraz wy przyszlście do mnie”...*

A my chcieliśmy, aby chwila jaka nam jeszcze została trwała wiecznie. Całą noc ludzie czuwaliby i modlili się. W Polsce otwarto wszystkie prawie kościoły, dywany płonących zniczy widoczne były chyba nawet z nieba. Chcieliśmy powiedzieć mu, że dziękujemy za to, czego nas nauczył, że jesteśmy tacy dumni z siebie, że nazywał nas przyjaciółmi, że wciąż powtarzał jak bardzo tęskni za Krakowem, Częstochową, za Tatrami, za Polską. Teraz musimy go pożegnać i zacząć żyć bez tego niezwykłego opiekuna i przewodnika. Przygotował nas na to, ale czy mamy radę?

Nadeszła sobota, modliliśmy się, ale i powoli chyba godzili z tym, co ma nastąpić. Kilka minut przed dwudziestą drugą na placu Świętego Piotra została przerwana modlitwa za jego zdrowie... Wiedzieliśmy, dlaczego, ale tak bardzo nie chcieliśmy tego usłyszeć, nigdy....

Wieczór

O 21:37 (czasu polskiego) Ojciec Święty Jan Paweł II odszedł do Domu Ojca...

Wielka cisza, nagle wszyscy tam na placu, w kraju, we wszystkich zakątkach świata poczuliśmy się osamotnieni, zagubieni. Ból, rozpacz i... jeszcze jedno niejasne uczucie. Przez te kilka dni dowiedzieliśmy się czegoś o sobie, o tym, co dla nas naprawdę ważne, po raz ostatni otrzymaliśmy od niego naukę. Przez swoje odchodzenie, przez to, że mogliśmy mu w nim towarzyszyć, poczuliśmy jedność, zaczęliśmy inaczej na siebie patrzeć, inaczej się modlić. Zmniejszyła się także odległość pomiędzy niebem a ziemią, między tym, co boskie a tym, co ludzkie, poczuliśmy jak

stajemy się częścią czegoś wielkiego. Podczas tych kilku dni od jego śmierci do dnia pogrzebu, jakby zatrzymał się czas, a już na pewno zatrzymała się Polska. Ludzie przestali się śpieszyć, na



ulicach i w tramwajach byli jacyś wyciszeni i pogrążeni w myślach. Na kilka dni z telewizji zniknęły reklamy, nikt nie mówił o polityce, ucichły spory zarówno te wielkie, jak i te małe lokalne, ale toczone od wieków. Wszystkie problemy zeszyły na dalszy plan. Wobec skromnej drewnianej trumny wiele rzeczy uległo przewartościowaniu i to na każdej płaszczyźnie stosunków międzyludzkich. Spoczywający w niej człowiek pokazał nam, jak bardzo my wszyscy, my różnej wiary i poglądów, o różnym kolorze skóry i różnych zapatrywaniach, jesteśmy podobni, potrafimy się zjednoczyć, być razem.

Do Wiecznego Miasta ruszyły tłumy, w te kilka dni wszystkie drogi naprawdę prowadziły do Rzymu. I stanęli obok siebie Chryścijanie, Izraelici i reprezentanci krajów arabskich, w skupieniu modląc się w wielu językach. Kim był człowiek, który nawet po śmierci miał taką siłę i z czego ta siła wpływała?

Kilka dni po pogrzebie przyjaciółka opowiedziała mi o pewnej chwili przed Bazyliką Świętego Piotra, w której wierni mogli pożegnać Jana Pawła II. Stali tam w długiej kolejce przez wiele godzin, dzień i noc. W świątyni było cicho panował półmrok i wszechogarniający smutek. Ona także w milczeniu przesuwiała się z grupką ludzi, nie mogąc na niczym skupić myśli. Patrzyła na niego, takiego odległego już nienależącego do tego świata. Co teraz, jak bez niego będziemy żyć? Kończyła się noc, gdy ludzie opuszczali kaplicę, brunatno-szary przedświt jeszcze bardziej podkreślał przygnębienie nagle, kiedy wraz z innymi stanęła na schodach świątyni, niebo zaczęło zmieniać kolor. Nie wiadomo skąd pojawiły się pierwsze promienie słońca, czyste i jasne, szybko rozprasały mrok. Nad Rzymem wstawał kolejny pogodny dzień. Tych kilka ciepłych błysków nadchodzącego świtu sprowadziło myśl, że po to właśnie tu przyszła, po te kilka promieni słońca. Poczwała, że naprawdę go pożegnała, ale nie była smutna. Noc tak jak śmierć nie kończy wszystkiego. Bo pozostała pamięć o wspaniałym człowieku, która pozwoli łatwiej radzić sobie z tym, co nas czeka.

Zazdroszczę jej tej chwili i takiego pożegnania z Ojcem Świętym. Czasem myślę, że każdy przynajmniej raz w życiu powinien stanąć na takich właśnie schodach i zrozumieć.

.....

*Właśnie w górach byłem Ojcie święty,
gdzie skrzypce górskich kapeli
łagodnym szeptem wygrywają
z każdej strony świata
miłość do Ciebie,*

*a krokusy
te z Chochołowskiej
wszystkie chcą zakwitać
na Twoich śladach,*

*gdzie cisza pod krzyżem Giewontu
wciąż jeszcze klęczy przyjąć rada
komunię Twojego słowa.*

(Zofia Nowacka-Wilczek, wiersz z tomiku „Cały Twój Maryjo wydany przez JPPI Polish American Poets Academy, Inc.)